

Krzyżacy w Horzycy, a wróg czyha!

Teatr im. Wilama Horzycy za nowej (ciągle tymczasowej) dyrekcji odważnie puścił kierownicę i zdecydował się na jazdę bez trzymanki wystawiając wydawałoby się to, co niewystawialne – i wyszło mu to na dobre! Pierwsza w Toruniu i jedna z pierwszych w ogóle inscenizacji „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza na polskich scenach – to niezły majstersztyk adaptacyjno-interpretacyjny. W duecie Radosław Paczocha (adaptacja) i Michała Kotańskiego (reżyseria) są zarówno: groteskowość bohaterów powieści i ich krzyżacka groza, są sztuczne pozy oraz dostojne damy, jest niedźwiedz i zbliżająca się wojna, ale wszystko to skrywa się jakby za rozchyloną kurtyną, przez którą zerka Sienkiewicz, puszczać współczesnym oko.

Oto bowiem w 100 lat po swej śmierci pan Oblęgorka może czuć się kontentem: dziś wolną Polską, której nie dożył, włada zza kulis poseł zakotwiczony mentalnością w XIX wieku, gdzie tradycja narzucała sposób myślenia i narodowej tożsamości. Tym samym premiera „Krzyżaków” wpisuje się idealnie w „zwycięstwo narodu”, dla którego liczyć się powinny przede wszystkim hierarchia i czołobitne szanowanie władcy, a mężczyźni pozostawać ciągle w wojennej gotowości. Wszak tuż obok i dookoła dybie na nas wróg i bronić Ojczyzny trzeba! I tak właśnie działa odważny Zbyszko z Bogdańca: najpierw tłucze, potem dopiero duma, ot idealny bohater do naśladowania, tak jak w aktorskiej kreacji Łukasza Ignasińskiego. Jest to postać współcześnie wszechpolska – zakapturzony „ziomal” z kijem bejsbolowym na dresowym ramieniu, któremu tylko w głowie to, by usieć jak największą liczbę nienawidzonych innych, w tym wypadku Krzyżaków. Co ciekawe – jego współczesna kreacja oraz kostium nie kłócą się z historycznym kontuszem Maćka z Bogdańca, a wręcz kładą jasny akcent na dysharmonię tych dwóch postaci: zapalczywość młodego w kontrze do wesołkowatości wuja. Już tylko dla tych obu ról: Zbyszka i Maćka, warto zobaczyć toruńskich „Krzyżaków”. Jarosław Felczykowski rewelacyjnie wykorzystuje w roli Maćka wszystkie akcenty swej *vis comica*, bawiąc publiczność do łez, czego nie powinien mu także zazdrościć Łukasz Ignasiński w przeżabawnie nadętych monologach Zbyszka przerywanych raz po raz oklaskami publiczności.

Pierwsza część przedstawienia obfituje w szereg inteligentnych parodii i autoparodii Sienkiewiczowskich postaci namalowanych w powieści dość prostą kreską: Danusi Jurandówny (śliczna ze względu na wdzięk i swobodę Julia Sobiesiak) czy bardzo ciekawie ustawionej reżysersko Mirosławy Sobik w roli Jagienki ze Zgorzelic. Sobik gra ją nowocześnie, autoironicznie i feministycznie. Pełne osobowości prześmiesznych postaci tworzą także: Michał Marek Ubysz w roli jej ojca – Zycha ze Zgorzelic, Niko Niakas jako Opat czy Paweł Tchórzelski grający handlującego relikwiami Sanderusa. Gdzieś przed nimi usadowił się obcokrajowiec, sardoniczny Fulko de Lorche (Paweł Kowalski), z należnym mu dystansem do polskości i nienawiścią do Maryjnych rycerzy. Ponad nimi na wysokiej rampie raz po raz pojawiają się właśnie oni – złowrodzy Krzyżacy wyglądający niemal jak esesmani: Tomasz Mycan jako Zygfryd de Löwe, Maciej Raniszewski w roli Komtura Danvelda oraz bracia Rotgier (Arkadiusz Walesiak) i Gotfryd (Grzegorz Wiśniewski). Zimni, oschli, nieco

wykpieni jednym pawim piórem na czapkach i młotkami w dłoniach. Mogą wstrząsnąć wyobraźnią, gdy pomyśli się o niedawnych rocznicowych obchodach ONR-u w Białymstoku i mocno konotować z kontrowersyjnym plakatem do przedstawienia. Ich elitarni Krzyżacy kipią gniewem nonszalancko i wyniośle, w przeciwieństwie do równie dumnych, ale rozważnych Polaków: Króla Jagiełły (z klasą i chłodno prezentujący poczucie władzy Bartosz Zaczykiewicz) oraz Księżnej Anny (nienaganna w „koronowanych” rolach Jolanta Teska). Dostojeństwo obu postaci podkreślają ich kostiumy z epoki oraz sceniczna lokalizacja – Króla głównie na górze rampy i Księżnej, zawsze otoczonej chórem dwórek (Agnieszka Wawrzkiwicz, Maria Kierzkowska, Aleksandra Bednarz i Anna Romanowicz-Kozanecka). Chór komentuje sceniczne fakty krótko, jednym zdaniem, chór krąży, wręcz przepływa przez wszystkie poziomy sceny, a swym jednostajnym, nieco hipnotyzującym kroko-tańcem (autorem ruchu scenicznego jest Cezary Tomaszewski) nadaje przedstawieniu rytm, w głównej mierze w drugiej części przedstawienia, gdy, jeśli pamiętamy treść powieści, już tak wesoło jak na początku nie będzie. Aktorsko zatem przedstawienie broni się w szerokich aspektach i gdyby jeszcze realizatorzy zwrócili uwagę na dykcję niektórych aktorów, to tak szczególna i gorzka ironia byłaby doskonała.

Po przerwie na pierwszy plan wysuwa się postać Juranda ze Spychowa w popisowej kreacji Bartosza Woźnego. W „Krzyżakach” Kotańskiego tragizm jego postaci przenosi się do głębszych warstw i zostaje wcielony w sytuacje bliższe widzowi współczesnemu, w których tragizm tak często jest odwrotną stroną komizmu. Nie znaczy to jednak, że reżyser – wbrew wizji pisarza – uczynił na scenie ponurą dramę. Wręcz przeciwnie: feeria ironii w owej kipiącej masie tragicznych wydarzeń i słów zyskuje ciągle niestety aktualny wymiar: głębszy nawet niż w samej przerażającej historii Juranda. Bartosz Woźny wygląda współcześnie i tak też jest przez reżysera prowadzony na scenie, bez zbędnego dynamizmu, afektacji jego rozpaczy, za to bardziej w stronę iluzji, deziluzji. Tym samym tą rolą Woźny jednych wzruszy, innych tylko poruszy – ot kolejna śmierć czyjegoś dziecka widziana na ekranie, kolejne syryjskie ruiny...

Scenografię Magdaleny Musiał, wręcz prowokacyjnie oszczędną, z ciągle padającym śniegiem, kilkoma choinkami w bokach proscenium i stromą rampą służącą młodym zabawie świetnie uzupełniają także jej wizualizacje video. Widzimy na nich wypalone domy, wzięte jakby z toruńskiego blokowiska, gęsty las, lecące nad Jagienką i Zbyszkciem bombowce czy drzewo, na którym w finale powiesi się de Löwe – wszystkie utrzymane w głębokiej czerni. Scenę tylko raz rozświetlą silne reflektory skierowane w publiczność po śmierci Danusi. Bardzo pomysłowo wpleciono także w akcję fragment filmu Aleksandra Forda, powtarzając skaczącymi klatkami i ołówkowym obrysem scenę z niedoszłej egzekucji Zbyszka. Kostiumy Arka Ślesińskiego początkowo mogą razić niekonsekwencją, ale z czasem widać wyraźny zamysł: jedni aktorzy grają we współczesnych garniturach, inni w strojach z epoki, ale w każdym jest jakiś wyłom – a to jedna z Dwórek występuje ubrana na czarno przy pozostałych w bieli, a to znów jednemu z Krzyżaków brakuje kamizelki... To nadaje spektaklowi niepokojącą dynamikę wizualną, podobnie jak dźwiękowo transowa muzyka Lubomira Grzelaka.

Okazuje się, że Sienkiewiczowscy „Krzyżacy” mogą być bardziej „sceniczni” od samej powieści, której „urodę” stanowi wyłącznie warstwa językowa. Autorowi adaptacji udało się z niedoskonałej powieści historycznej wyłuskać główny wątek romantycznej historii miłosnej, reżyserowi zaś ponieść fantazji i wskazać współczesnym ironię historii: w naszym położeniu geograficznym ktoś zawsze na nas czyha. Sto lat temu był to pruski zaborca ze swoim Kulturkampf, teraz jest to tylko niemiecki kapitał w polskich mediach i... oczywiście zły sąsiad ze wschodu. Tu wiatr wieje z różnych stron. Największym paradoksem polskości pozostanie jednak hardy zaduch i brak współpracy w naszych czterech ścianach. Nawet wtedy, gdy kolejna wojna wisi na włosku i syreny już wyją na alarm...

Henryk Sienkiewicz, „Krzyżacy”
adaptacja: Radosław Paczocha
reżyseria: Michał Kotański
premiera: 9 kwietnia 2016
Teatr im. W. Horzycy w Toruniu

„Krzyżacy w Horzycy, a wróg czyha!”

Aram Stern

Menażeria

[Link do źródła](#)

05.05.2016